1844. Nr 10. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

O OBOWIĄZKACH WŁAŚCICIELI ZIEMSKICH.

Obowiązki każdego człowieka względem całego społeczeństwa i kraju, tam dopiéro kres swój znajdują, gdzie kończy się możność dobrze czynić i być ogółowi pożytecznym. Przeto wskazywać, w czém kto *może* się przyłożyć do powszechnego dobra, jest to mówić co *powinien* czynić, jest to wytykać jego obowiązki. Kiedy nam przychodzi mówić o właścicielach ziemskich, trudno jest sobie zataić, że bardzo mało co czynią im zadość, a że poprzednicy wbrew zupełnie im postępowali. W czém i dla czego dzisiajsi dziedzice pomijają

drogę, którą iść péwinni, oto jest o czém zamierzamy mówić. Mało jest położeń, w którychby więcéj można było czynić dobrze, i zbawienniejszy wpływ wywrzeć, do którychby zatém większe obowiązki były przywiązane. Stosunki obecne włościan i właściciela wioski, nadają temu ostatniemu niesłychaną przewagę nad ich bytem, nad całym ich losem, który prawie zupełnie w ręku swoim trzyma, bo widzimy, że zniszczenie i z-ubożenie całych wsi, albo znośny przynajmniéj stan ludu, idzie za panem i od niego wyłącznie zależy. Posiadanie dóbr powinno więc być patronatem i sumienną opieką nad słabszym bliźnim, któremu podawać należy dobroczynną rękę, aby mu osładzać przykre położenie i wydzwignąć go z niego stanowczo. Takiem być powinno usposobienie każdego dziedzica, można zaś czego dobrego się spodziewać, jeżeli temu towarzyszyć będzie trafne rzeczy pojęcie, które dobrą chęć uczyni skuteczną i płodną w następstwa. Nie jesteśmy bynajmniéj stronnikami stosunków, które nadają pojedyńczym ludziom wpływ tak wielki a zupełnie dowolny, — którego każdy człowiek, byle miał dziś pieniędzy na kupienie wioski, może używać, częstokroć nie posiadając stosownych przymiotów i usposobienia, — ale biorąc stan rzeczy takim, jakim jest w istocie, nie możemy jak życzyć i pragnąć, ażeby wszelkie dobro, które z niego da się wyczerpnąć, miejsce miało w rzeczywistości.

Przy rozpowszechnionéj bardzo, jak wszędzie tak i u nas dążności pozytywnéj, prawie aż egoistycznéj, ludzi posiadających jakiekolwiek mienie, i starających się o jego dochowanie lub przymnożenie, własność wioski uważana bywa jako prosta lokacija kapitału, dogodna i pewna, bo oparta na ziemi. Kto poprzestaje na podobnym sposobie rozumienia rzeczy, (a małoż jest takich?) nie widzi nic więcéj nad swoje gumna, gorzelnię i rolę; tu się kończy widokrąg i świat cały dla niego — a na myśl mu nie przychodzi, że w téj wiosce, która na jego dochody pracuje, żyją podobni mu ludzie, łaknący częstokroć chleba, potrzebujący koniecznie oświaty. Jeżeli

zaś wié o nich, to tylko o tyle, o ile mu jest potrzebną ich praca; jeżeli się dowiaduje o ich byt i mienie, to go o tyle tylko obchodzi, o ile wpływa na jego własne dobro i stan majątku; — uczucie ludzkości nic tu do czynienia nié ma, jest to prosta ewaluacija na pieniądz, potrzebnéj sobie posługi, nic więcéj. Z podobnego wychodząc stanowiska, właściciel dba pozornie o włościan, o ich byt, dla korzyści, jaką z ich robocizny ciągnie, jak pasterz o owce dla wełny. Woli widzieć lud wiejski zamożnym, bo pewniejsza i lepsza pańszczyzna, i oblicza nawet jego mienie ze względu własnego pożytku. Wioska n. p. ma tylu gospodarzy zamożnych, czyli silnych, tylu średnich, tylu zupełnie biednych, czyli słabych; — nie myśl czytelniku, że to jest troskliwe i bezinteresownie-opiekuńcze wejrzenie na stan ludu, bo wcale o to nie chodzi, tylko o jakość pańszczyzny, którą mieć można; — to interes dziedzica, który na szalę własnéj korzyści waży mienie kmiotków, i tak samo ich rachuje i gatunkuje, jak gdyby mówił sobie: tyle mam koni tęgich i rosłych, tyle mierzynów, tyle małych i nędznych!! — Bo zaiste, biedny włościanin ciągle pracuje na pana, jakby zaprzęgnięty w jarzmo, i dla tego ten ostatni oblicza, ile sił mu starczy, — i te siły podsyca, o ile mu są potrzebne, a podobna spekulacija na pracę i krwawy pot biednego, przybiera niewłaściwe nazwisko zapomagania włościan i *opieki troskliwéj* nad niemi, jak gdyby opieka była czém innném, jak przysługą bezinteresownie słabszemu niesioną.

Na to zaś, ażeby być prawdziwie pożytecznym członkiem społeczeństwa, nie zaś niewdzięczną pasożytną naroślą, potrzeba wyjść z ciasnego obrębu egoizmu, — potrzeba nadewszystko, aby każdy z nas na włościanina patrzył nie tak, jak na prosty przedmiot pożytku, ale jak na bliźniego i brata — i prawdziwie chrześcijańską opiekę nad nim rozciągnął, jako nad słabszym i młodszym w oświacie. Właściciele zapewne zechcą wejść w stan istotny tego biednego a poczciwego ludu rolników i rozpoznać, że jego wady i nałogi nie pochodzą

ze złego gruntu, z braku serca i cnoty, ale z fałszywego i nieszczęśliwego położenia, które wbrew naturze rzeczy czyni go tém, czém jest — a w czyjéj-że jest mocy zmieniać i przekształcać te stosunki, które ciążąc nad ludem, nie dają mu się rozwinąć i pozbawiają go właściwéj człowiekowi używalności duchowéj? Włościanin jest ciemny i nieoświecony — to jest jego nieszczęście, ale *nie jego wina*, bo stan jego zależny, ciągła i niewdzięczna praca, któréj nagrodą jest zazwyczaj nędza, utrzymują go w ciemnocie, — wyjść z niéj nie może, bo mu nie podadzą ręki, ażeby mógł przyjść do siebie; siły jego podniecają tylko o tyle, o ile są potrzebne, ażeby *pan* z nich pożytkował; nie myślą wcale dla niego o bycie samodzielnym, który jeden tylko rozwijać może wyobrażenia i oświatę. Opieki prawdziwie chrześcijańskiéj i braterskiéj mu trzeba, — czyimże to jest obowiązkiem, jeżli nie możniejszych braci? — a doznał-że jéj kiedy? Zaiste, dziedzice mówią wielką prawdę, dowodząc i rozprawiając, jak się to nieraz zdarza, o smutném umysłowém usposobieniu kmiotków, ale w tém nie widzą jednéj tylko, ale najważniejszéj rzeczy, że sami oto w piersi uderzyć się powinni, obiecując sobie uroczyście poprawę. Włościanin jest o swój byt niedbały, w pracy niewyrówna nigdy cudzoziemskiemu robotnikowi, — i to jest tak-że prawdą, ale podobnież pochodzi z jego nieszczęścia, nie zaś z *jego winy*. Stosunki, które nad nim ciążą, robią go wyrobnikiem na kogo innego pracującym, — zaprzęgają go w jarżmo, a chcianoby, żeby pracował jak człowiek! Nie, to niepodobna! — prawdę mówią o nim dziedzice, ale nie widzą albo wiedzieć nie chcą, że sami są tego przyczyną, że sami mogą to złe zmienić i usunąć; — ale na to potrzeba braterskiéj ręki i pomocy, na to potrzeba dać włościaninowi zapracować prawdziwie dla siebie, a radą i pomocą, słowem i uczynkiem dopomódz do tego mu trzeba, oduczać go od zgubnych nawyknień, któreby mogły zostać smutném dziedzictwem i puścizną dzisiajszego położenia; czuwać nad rozwinięciem jego pracy, pielęgnować

tę drogą roślinę, którą nadto długo tratowano bezbożnie, aż zmalała niżéj normalnych swoich rozmiarów. A kto ich tratował i do dziś-dnia depce, a tak dalece do tego się wdrożył, że się nawet nad tém nie zastanowi i nie pomyśli, co czyni? A któż powinien troskliwie ją podjąć i odżywić? Nikt, jak tylko dziedzice, — a myślą-że o tém?... Włoscianin jest nałogowy, lubi trunek, upaja się — i to jest prawda', ale dziedzice, którzy najczęściej o téj wadzie wspominają, nie pomną, że po szlacheckich dworach krążą także wiwatowe kielichy, i wydarza się także wcale nietrzeźwa hulanka; — a komuż więcéj się dziwić, kogoż stosowniéj wytykać? Nie pomną, że ogromne puhary w wielu miejscach przechowane, świadczą o skłonnościach ich przodków, którzy za króla Sasa zapominali (*) dla wina i jadła, dla biesiad i rozpusty, o najważniejszych sprawach. Kiedy zaś nasz poczciwy i biedny włościanin ulega téj wadzie, bądźmy pewni, że to się zdarza w wioskach, gdzie doznaje największego ucisku, gdzie nic nié ma do stracenia, gdzie przyjść do bytu znośnego nie zdoła; — tam zaś, gdzie łagodniejsze i umiarkowane postępowanie dozwoli mu się cokolwiek rozwinąć, tam nié ma pijaństwa nałogowego. Jedném słowem, ta nieszczęśliwa wada idzie w stosunku prostym pognębienia naszego kmiotka, — sama zaś nie może być uważana za *przyczynę piérwotną*, ale za *symptomat* i oznakę w zewnętrzności się przebijającą z tego, które tkwi głęboko w naszych stosunkach społecznych, i choroby, która nas trawi; czyni nas niedołężnymi, nie dozwala nam podnieść przemysł i bogactwo powszechne, a tém złem, tą chorobą, jest ucisk przez dziedziców nad włościanami rozciągnięty, w którym wychowali się i wzrośli przez liczne pokolenia, — skutki zaś jego i następstwa zgubne, przebijają się pod różnemi

---

(*) N.B. to o *szlachcie* tylko mowa.

postaciami,— ale dla czegoż to właściciele nie chcą dojść aż do ich przyczyny pierwotnéj? Biedny kmiotek, trzymany przez swojego bliźniego i rodaka w stanie nędzy i gorszącéj zależności, która nigdy mu nie dała rozwinąć jego przemysłu, bytu i oświaty, musiał dopuścić się niektórych wad i zdrożności, w które go jego położenie wtrąciło, a nikt nie raczy się zastanowić, że nie jego o to winić należy, ale tych, którzy są sprawcami tego stanu, tych, którzy mogą mu zaradzić, a przecież tego nie czynią. Włościanin jest wtrącony, na swoje nieszczęście ale nie ze swojéj winy, w stan nędzy i zależności, z którego wynikają złe nałogi, a te nałogi, które są następstwami koniecznemi dzisiajszego jego położenia, uważają dziedzice za nieprzełamaną przeszkodę do poprawienia jego losu! Panowie właściciele, to warte jest zastanowienia i głębokiéj rozwagi!! Posłuchajmy, jak daléj jeszcze oceniają i obmawiają nam lud rolniczy, przypisując mu zupełnie pewne zdrożności, od których nie mógł się uchronić. Włościanin, mówią, bywa czasem podstępny, rad oszukać dziedzica, kiedy mu się tylko uda, jest szkodny, wypasa cudze łany, zasiewy, i t. p. Ten zarzut jest poniekąd prawdą, lubo się w ogólném znaczeniu nie da nigdy zastosować, ponieważ nasz lud, pomimo, swojéj biedy, zachował przecież w ogólności charakter szlachetny, poczciwy, otwarty, a świadczą o tém zgodne i braterskie stosunki samychże włościan pomiędzy sobą. Jednakże zdarza się, ze względem dworów używają podstępu, że na ich szkodę działają, lecz czyliż to nie jest charakterystyką nieuchronną słabszego i gnębionego? — A ta wada naszego kmiotka, również z położenia jego wynikająca, ma się w stosunku odwrotnym do łagodności i sprawieliwości, któréj doznaje od dziedzica;— tam zaś najwyżéj wygóruje, gdzie dziedzic ciemięży lud wiejski. I temu dziwić się nie należy, ani o to naszego włościanina winić, ani właściciele mają prawo, jako zarzut przeciwko ludowi to uważać, czego sami rzucili ziarno i krzew zachowują. Z drugiéj zaś strony zapytalibyśmy się, jak charakte-

ryzować i odkreślić nadużycie dworu względem włościanina; — czy ono nie jest wyraźną napaścią i przemocą bogatszego, czyli mocniejszego? Czy nie jest rzeczą naturalną, że biedniejszy i słabszy natenczas broni się, jak może, ucieka się do podstępu? Co z dwojga jest mniéj moralném i ludzkiem, czy jawny ucisk dziedzica, czyli słaby, cząstkowy i drobiazgowy odrzut kmiotka? — napad czy obrona? A któremuż z dwojga należy się nazwa winowajcy? Panowie dziedzice, zastanówcie się, kto — i czém psuł i psuje charakter naszego poczciwego ludu, a baczcie na własne kroki, ważąc je naprzód sumiennie, bo weszliście w tór zgubny, po którym chodzicie niezastanawiając się sami, co czynicie. Włościanin robi wam szkody, wypasając wam zboże i łąki — prawda, że się to zdarza, ale dajcie mu naprzód poznać uczucie swojéj własności, aby cudzą umiał szanować, nadajcie mu prawo wieczyste do ziemi, a jeżli od razu, i jakby urokiem jakim nie poprawi się niebawnie, nie dziwcie się jeszcze, że nie ustąpi nagle zgubne złe i choroba, na których utworzenie i wykształcenie liczne pokolenia się składały, — które przez dziedziców ziemi utworzone zostało, wzmagało się i wzrastało, a przez nich poprawiane być może. Czy obowiązki właścicieli ziemi nie występują tu jawnie?... Czy do ich wykazywania nie wiedzie niepochybnie prawdziwa miłość bliźniego, miłość ludzi, dla któréj potrzeba daléj patrzyć i widzieć, jak swoje stodoły, folwarki i łany?

Młodzież i Starsi.

List niedawno otrzymany przesyłam Redakcyi w tém przekonaniu, że w nim upatrzy obraz obyczajowy — prawdziwy. W krótkim zarysie daje on poznać sposób myślenia i ukształcenia ludzi, od których społeczność miała-by prawo więcéj wymagać W ludziach dojrzałych widać samolubstwo — w młodzieży!...... także tylko samolubstwo! — Lekkość nieuobyczajona główną ich cechą. — Próżno szukać uczucia. — Wartość panien cenią na wagę złota posagu spodziewanego. — Podług ich opinii, rodzice dający córkom troskliwe a razem kosztowne wychowanie, krzywdzą je — a jak się dobitnie wyrażają *„okradają"*, bo umniejszają summę posagową. — Literatury znać nie chcą — nudzi ich, bo jéj ducha pojąć niezdolni.

Najlepiéj tego dowiedzie list, o którym mówiłem na początku. Użyte gdzie-nie-gdzie wyrażenia, mogące się zdawać rubasznemi, są żywcem przytoczone z prowadzonéj rozmowy. — Oto list:

„Przeznaczeniem w inne przeniesiony strony, pisałeś, żeś się nie oswoił z nowemi osobami. — Wiem jak jesteś trudnym w zabieraniu znajomości. Niechaj kto chce za wadę Ci to poczyta, ja nazywam to potrzebną przezornością — Świat dzisiaj tak samolubny! — Pragniesz, żebym często pisywał do Ciebie, żebym Ci dużo mówił o naszych dawniéj

wspólnych, a teraz moich tylko sąsiadach, iżbyś tym sposobem żył niejako pomiędzy nami. Widać że tęschnota zrobiła Cię pobłażającym, bo kiedyśmy przy jednym siadywali kominku, i w długie wieczory, długą bawili się pogadanką, pamiętasz jakieśmy utyskiwali na naszą okolicę, na ten brak życia umysłowego — a teraz tęschnisz! Czy myślisz, że się tutaj co odmieniło? O *nie*, mój kochany. — wcale nie. I jakże-by inaczéj być mogło w okolicy, w któréj panującém jest przekonanie, że kto chce być dobrym gospodarzem nie powinien nic czytać bo to i czas zabiéra i *mąci głowę!* Ta opinija utrzymuje się w całéj mocy. Unikają jak dawniéj czytania; a jeżeli się zdarzy któremu prawie niechcący, cóś przeczytać, jakże to opacznie pojmuje! Na poparcie tego, co mówię, napiszę Ci czegom się przysłuchał niedawno (*).

Przypominasz sobie, że w tym miesiącu mieliśmy imieniny naszego kapitalisty. — Zjechało się jak zwykle dosyć sąsiadów — Wiesz, że w takich zebraniach, rozmowa zwykle trwa od śniadania do objadu — bo po objedzie, jeżeli kto zostawił cokolwiek miejsca w swoim żołądku, zapełnia je winem nie zważając na głowę; wstrzemięźliwsi grają w karty. Wtenczas rozmowę można sprowadzić do téj prostéj formuły 0—0. Przedobjednia, lubo nie wiele więcéj warta, maluje przynajmniéj indywidualne usposobienia. Nikogo po nazwisku nie wymienię, po tém co mówił, poznasz kto mówił.

Po napiciu się wódki, po zjedzeniu różnych przekąsek, a po tych znowu po napiciu się wódki i porteru z cukrem, lub bez cukru, potworzyły się różne gruppy. Zacznę od najstarszéj, bo pierwszeństwo słusznie należy się wiekowi. — Słuchaj więc rozmowy, jak najwierniéj powtórzonéj:

Barczysty z dwiemi faworytami tak zaczął: Wiecie Panowie, że podobno cóś piszą o oczynszowaniu chłopów?

(*) List ten był pisanym w Październiku r. z. a zatém świeżo po wyjściu artykułów, o których poniżéj jest mowa.

Dziedzic z siwemi oczami, zażywając tabakę i częstując nią niskiego Radzcę (zapewne bardzo dawnéj daty, bo nikt nie wié, komu i kiedy radził?) Jakto nie czytałeś? —

Barczysty. Wiecie, że książek czytać nie lubię —

Dziedzic. O! ale to nie w książce, to było w Kor: han: i prze: przy Gazecie Warszawskiéj wychodzącym. —

Barczysty. Nie czytuję téj gazety — dla mnie zadługa — wiecie że teraz bieduję, i nawet na Kurjerka nié mam czasu. — No i cóż tam piszą? bardzo jestem ciekawy!

Dziedzic. Nic więcéj, tylko pragną, żebyśmy naszym chłopom oddali grunta na czynsz zamiast pańszczyzny. Chcą skasować stróże, koleje i wszystkie daremszczyzny. — Bóg wié czego nie projektują!

Radzca. To téż ich porządnie ściął pan S., bo im zaraz w swojéj replice powiedział *verba veritatis.*

Barczysty. Widać że to człowiek z głową — słusznie że ich skonfundował: — bo proszę państwa, co za dziwactwo chcieć kasować pańszczyznę, stróże, koleje! Ciekawym, jakbym sobie poradził bez stróży przy mojéj gorzelni — kiedy teraz, chociaż codziennie od południa dwóch stróży rąbie drzewo, prawda, że rzadko dłużéj jak do 9téj a i tak parobki co rok mi dziękują, mówiąc że na nich za ciężko. — Albo przy stawianiu budynków! Zasiał-bym chyba po Ś. Marcinie, gdy fornalki ciągle zwożą materijał. — Teraz zasiałem na Ś. Michał, bo u mnie chłopi końmi wychodzą za 15 groszy. Rozeszlę wieczorem po chałupach półzłotki, a oni po czterech dają konie do brony i jednego człowieka z kolei — tak za 2 złote mam zawleczone ośm morgów. (*)

Radzca. Szczęśliwy jesteś! ja z mojemi mam process — Nie chcą więcéj robić tylko tyle, ile tabella prestacyjna naka-

(*) Takie obowiązki pańszczyzniane istnieją rzeczywiście, nawet niedaleko Warszawy.

zuje. Ostatnia to rzecz mieć do czynienia z mądrymi chłopami; człowiek nie jest panem we własnéj wiosce. — Mówże takim o oczynszowaniu, to dopiéro na kieł wezmą!

Barczysty. Że też-to pozwalają drukować takie rzeczy! Dobrze przynajmniéj, że chłopi tego nie czytają; a wątpię, żeby któren z nas dziedziców chciał sam sobie szkodzić rozgłaszaniem tego.

Dziedzic. Nie wątp mój kochany, bo i dziedzice piszą za oczynszowaniem.

Radzca (ze śmiechem)—Tak, bo wiedzą, że chłopi nie będą tego czytali.

Dziedzic. Nie potrzeba koniecznie żeby to chłopi czytali, bo i między Dziedzicami znajdują się zagorzałe głowy, do których przekonania ta myśl trafić może, a niech tylko jeden da przykład oczynszowania, to się do niego chłopi churmem zlecą —

Barczysty. Czy sądzicie panowie, żeby nasi chłopi chętnie pańszczyznę na czynsz zamienili? —

Radzca Nie wiem czy w ogólności, lecz jestem pewnym że bardzo znaczna ich liczba już tego pragnie. Mam przykład u siebie, bo w ciągu processu, kiedy zjeżdzała kommisija, niektórzy oświadczyli się z chęcią płacenia czynszu. Niechby w jedném miejscu przyszło do tego, po niewielu latach przykład pociągnął-by całą okolicę.

Barczysty. To rzecz niesłychana! zaczynam się lękać na serijo. —

Dziedzic. Nie lękaj się zawcześnie, nie wszędzie chłopi tak mądrzy jak u pana Radzcy. — Wiesz że w zamian za swoje, dostał dobra rządowe; — inna rzecz w dobrach szlacheckich — u nas chłopi przyzwyczajeni na dwór się oglądać, nie umieli by sobie poradzić, zwłaszcza, jeżeli my znając nasz własny interes, umiejętnie wstrzymywać ich będziemy. —

Barczysty. Wiesz panie Radzco, że gdyby ci pańszczyzna upadła, to-byś twoje dobra *za słono* dostał.

Znasz miejscowość mój kochany, i dla tego zapewne tak jak ja, zdziwisz się, że *Barczystemu* dowcipny wymknął się dwójznacznik. — Może to mimowolnie; może ja dwójznaczność w tém widzę, co jest tylko prostodusznością; — tak być musi, bo to niczyjéj nie zwróciło uwagi.

Brała mię chęć wdania się w rozmowę z tymi panami, aby ich przekonać, że i przy czynszu można na czas zasiać i stawiać budynki, lecz wstrzymała mnie myśl, że przekonać takich ludzi nie można, zwłaszcza, że nie miałbym między niemi potrzebnéj *powagi*. Powagą bowiem u nich jest przestrzeń posiadanego gruntu. — Wartość ludzi, tak jak ziemię, mierzą na włóki, morgi i pręty. — Cóżby znaczył głos właściciela jednéj wioski, obok tych, co ich więcéj mają, co są *panami* i posiadają po trzy i cztery folwarki! — Nie odezwawszy się — poszedłem w stronę, gdzie stała młodzież, żywą zajęta rozmową. —

Znów powtarzam co słyszałem:

— Cóż T. nie myślisz się żenić? — Owszem, myślę — alem się jeszcze nie namyślił. — Bardzo przebierasz, żebyś nie został na koszu! — Cóż mi to szkodzi? Dziś jest mi bardzo dobrze, a niewiem jak będzie potém: albo co dobrego — albo nic! — Przyznaj jednakże, panna*** wpadła ci w oko — ciągle byłeś nią zajęty.

Prawda — alem się *zrajterował*, kiedym poznał, że panna za lekka.

— Jakto ona miała bydź lekką! Tak dobrze wychowana i rozsądna; tak widocznie skromna. — To niepodobna! — „E, bo ty mnie nie rozumiesz — ja tam nie zważam na ułożenie: jeżeli mówię, że za lekka, to się znaczy, że nié ma posagu — a ja nie lubię *letkiewiczów*. Bieda z tém, że gdzie jest sól, tam nié ma mięsa — a gdzie mięso — tam nié ma soli!“ (Śmiéch w całém gronie). Nie myśl, że tu mowa o soli attyckiéj — broń Boże! Sól, w słowniku rozmawiających, znaczy pieniądze — a mięso, to powierzchowność.

— „Dawno wróciłeś z Radomskiego?“ — Wczoraj dopiéro opuściłem mego kochanego stryjaszka, u którego porządniem się znudził — „Jakto? nie polowałeś?“ — Bardzo mało: wiecie że stryjaszek nie myśliwy ale literat: zasadził mnie nad rozmaitemi szpargałami, które dla przypodobania mu się, musiałem przewracać (ziewając). Na samo wspomnienie sen mnie ogarnia! — „Cóż tak nudnego czytałeś?“ — Dla mnie wszystko nudne, a nadewszystko pisma perijodyczne krajowe — Jednego tylko Kraszewskiego mogę czytać. — Podobają mi się niektóre jego powieści — ale nie bez wyjątku. — Nie lubię ani morałów, ani przytyków — a w niektórych i jednego i drugiego zawiele. Najlepsze romanse francuskie, z nich to człowiek uczy się żyć na świecie i przybierać ton modny. — „Nie dziwię się żeś wcześniéj wrócił od stryja, niżeś sobie zamierzył, wyjeżdżając do niego.“ — Byłbym jeszcze pozostał; ale zaszła między nami *afera*, przyznaję, żem się *poszkapił*. (Wiele głosów) Cóż to było? — Słuchajcie: stryjaszek, z pomiędzy licznych pism, któremi jego stolik był zarzucony, wyciągnął któryś numer Przeglądu a wskazując palcem rzekł: „czytaj“ — Posłuszny, siadam i czytam. Będę długo pamiętał ten artykuł, nie dla tego, żeby był osobliwy, ale dla tego, że mi się djabelnie dał weznaki. Wojcicki, co to zawsze lubi prawić o dawnych rzeczach, napisał jakąś rozmowę przy kominku, między ludźmi młodymi. Dużo tam wzdychania, ale nie mogłem zgadnąć nad czém. Kiedym czytał, Stryj oka ze mnie nie spuścił — chciał zapewne widzieć, jakie to na mnie sprawi wrażenie — Przeczytałem i zamykam *Przegląd*, szczęśliwy że skończyłem — Stryjaszek zapytał: „Jakże ci się to podobało?“ Doprawdy mój stryjaszku, (odpowiedziałem) nie wiem o co idzie? — Widzę, że autor żałuje zmarłych, a mnie się zdaje, że jeżeli śmierć jest przykrą dla umierających, to często pociesza pozostałych spadkobierców. — Żeby nie było śmierci, toby nie było sukcessyi. — Poznałem, żem głupstwo powiedział, bo stryjaszek, jako bezżenny, jest domniemanym moim spadkodawcą. Zmięszałem się widocznie. —

Stryj oburzony, (bo zapewne i jemu to na myśl przyszło), piorunującym zawołał głosem: „Jakto? nic ci innego nie daje do myślenia ten artykuł?—Chcąc się poprawić rzekłem: Owszem — widzę, że Łęczycanie dobrze pili (bo i o tém mowa w artykule). Stryj krzyknął: Głupcze! nie wart nawet jesteś, żebym się nad tobą litował! — Stryjaszku — ja już nie jestem dzieckiem (odpowiedziałem). „Tem gorzej, (zawołał). Gdybyś niem był jeszcze, mógłbym się tobą zająć, może-byś wyrosł na człowieka — teraz!...“ — ruszył ramionami i wyszedł z pokoju, drzwi zatrzasnąwszy. — Wieczorem nie kazał mię wołać na kolaciją — z-rana przyniesiono kawę do mego pokoju, czego nigdy dawniéj nie bywało. — Domyśliłem się, że to paszport na drogę. Kazałem zaprządz — nikt mnie nie zatrzymał; — tak bez pożegnania opuściłem wczoraj dom stryja, a dziś jestem między wami. — „A wiesz, że ci to może szkodzić! nietrafnie odezwałeś się o sukcessyi, i zgadzam się z tobą, że to gniew stryjowski wznieciło.“— Jeszcze nie rozpaczam. Stryjaszek może przecież pożyć lat kilka, to będzie czas udobruchania go. — Za parę tygodni napiszę list z przeproszeniami — potém go odwiedzę. — Ale co tam! pójdźmy w lancknechta — jeszcze daleko do objadu, możemy się zabawić.“— Koło się rozeszło — zostałem i pomyślałem: tylu zebranych! a między niemi ani jednego człowieka!... Teraz powiedz mój kochany, jest-że czego żałować? —

NAUKI.

(Wstęp).

Początek zawiązku społeczności ludzkiéj, różnie przez różnych był badanym i rozstrzyganym. Z tego jednak wszystkiego, to niezbitym zostało pewnikiem, że względy, stosunki, zmiany, wypadki, potrzeby, jednym zapobieganie, drugich zaspokajanie, uleganie i dogadzanie, zrodziły budowę społeczności, wymagającą iżby porządek téj budowy na wzajemném, wspólném pożyciu i pomocy się opiérał.

Podobna budowa i porządek w naukach, potrzebują także wspólnictwa i powinowactwa. I pomiędzy niemi, równie jak między ludźmi, tenże sam charakter powinien się odbijać. — Nie tylko to staje się potrzebą nauk w ich początkach, od umysłu, uczucia i innych dla nich źródeł, któremi ród ludzki otoczony jest światem utworów innych; lecz jest także, skutkiem różnicy ludzi co do sił i zdolności, przedmiotów, co do ich obrębów i przestronności! Tu wchodzą wszelkie rzeczy i ich przymioty, myśli ludzkie, chęci i dążenia, zmysłowość i umysłowość, jednostronność i różnostronność, blizkość i odległość, szczegół, ogół i stosowanie.

Wieleż to w tém wszystkiém rozmaitych względów pod rozmaite myślenie podpada! I nie tylko od zmysłów i umysłu wypływa podwójne myślenie, lecz też nieskończona rozmaitość ze względów ilości, rozmiaru i tak daléj. To wszystko powinno

być uważane wśród społeczności i jéj ruchu. Jako w tém, społeczność ludzka okazuje się, nie jak ciało machinalne, bez zarodów życia, czucia fizycznego i moralnego, zmysłowego i umysłowego, i przeto się rozwija we wzrost lat, w sędziwość wieku, i podaje istotę i zasady na obecność i na przyszłość; tak w témże samém leży przyczyna dla nauk, że mieć powinny życie i ruch, obudzający wciąż czynność myśli, aby były użyteczném oświeceniem ludzi: nie zaś próżnym dzwiękiem słów, lub kłamliwém, jak niekiedy się zdarza, ich pojmowaniem, dążeniem, używaniem, wykręcaniem; aby nie były czczą dla cnoty okazałością, bańką łudzącéj próżności, cackiem znikomości, bez śladu dobra, a z trąbą dla siebie jakiegoś przepychu, a co gorsza, piętnem wyciskającém złe ze swego wpływu, albo obojętnością na dobre, przez nieznaczący zbiór oklasków znieważających świątynię prawdy, która przez wzgląd na istotę wyższą Ducha i Prawdy, powinna być nieskalaną, czystą od tych zarzutów, choćby niewiem dla jakich celów, w czynach, w życiu, a dla nich i w naukach.

Zaiste, nauki tak prawdziwe, tak czyste, tak godne, tak moralne, tak obyczajowe, tak społeczne być powinny! Zaiste, do czegóż mógłby dojść człowiek za czystą prawością, gdyby w niéj był ród ludzki cały!...

A przecież! czy nie widzimy ludzi, z nauk biorących złe, obracających je ku czemu innemu, niżli jest cel ich nabywania? Czem-że się to dzieje? co tego jest przyczyną? Czy nie jest tylko między innemi i to, że dotąd jest mało względów uważania i stosowania w naukach, daleko mniéj niż w ogólności ludzi: a społeczność nasza, dążąc nie zwrotnie, lecz wciąż postępnie, wykrzywianą jest przez drogi, nie z saméj istoty nauk ani z ich celów, lecz przez brak ich stosowania, które dla tego samego, ani celem tak czystym, ani literackim, jak pewnym i zbawiennym dla ludzkości, nie zdążają za stosowną dla ludzi wytkniętą ludzkiego rodzaju przyrodą. Snuje się żywot ludzi wiekami i narodami, a czy się stosuje i czy

stosownie snuje się żywot nauk, na których się buduje wychowanie? i czy rusztowanie gmachu nauk nie jest za słabe na wielkość gmachu społeczności ludzkiéj? że robotnicy przez to lecą i kaleczą się, bez dobrego owocu roboty, jak to się okazuje w społeczności, mającéj członków, walczących przeciwko prawości, i cnocie, i czynie; jestli-to powód do walki i zbijania się szkodliwego w dążeniach ludzkich, przez to samo pokrzywionych? Czy nie w tém leży jeden z zarodów zepsucia, że w społeczności ludzkiéj, nie sami to są ludzie zacni i godni, że nie są wielcy cnotą, a tylko byle jaką wielkością; że są ludzie nierównoważący bytu, życia i czynności swoich miłością bliźniego, że mniéj jest ludzi biegnących do dobrego, niż lecących ślepo ku złemu; że jest wiara łatwiejsza, nie potrzebująca tak wymagających dowodów, nieczyniąca tak wyszukanych i uchwycanych zarzutów w tém, co jest złe, i do tego tak snadniejsze przystawanie i naśladowanie, jak jest wiara, byle czém osłabiająca się, przystawanie tak chwiejące się i naśladowanie tak zimne tego, co jest dobrem. — Czyli-to tylko sama przyroda ludzi temu jest winną? Nié mażli przyczyny innéj nad samą przyrodę?

Człowiek skłonniejszy jest, wciąż powtarza sam o sobie, do złego niż do dobrego; ale bo jest takim tylko przez ciało.— Ten sam człowiek skłonniejszym jest wciąż, o sobie tego nie powtarza, albo mało o tem myśli, do dobrego niż do złego, bo jest takim, a to przez duszę: on przez nią koniecznie, ustawicznie jest pobudzanym ku dobremu.... i cierpi w walce od ciała — skłonności innéj doznając — inny zaród w ciele nosząc. — Niech tylko nie zagłuszają go zwyczaje, którym nadawać lubi, bo mu jest mało w zakresie cielesnym, nadto wagi w rozkoszy tego rodzaju, a niech uczuje rozkosz duszy tak, aby do niéj nawykł i polubił; niech go nie oślepiają mniemania, które nazbyt łatwo bez rozwagi przyjmuje, i wiatrem przesądu pędzony, przykrzy sobie obrócić się twarzą przeciwko temu pędowi, niech go nie krępuje osobistość, któréj sam nie

rozumie, dla któréj szczęścia nie widzi najbliżéj siebie, ale niewolnik zle zrozumianéj miłości, szuka szczęścia w porównywaniu się do drugich, i dla tego w niepoznaniu takiém czci rzeczy, nawet sobie szkodliwe, utrzymuje je błędnie, woła po nieumiejętnemu, lub po zwierzęcemu za swą chęcią, i nié ma oczu przeciwko chuciom swoim. A dla czego nié ma oczu? nie poznaje, co gdyby zrozumiał, pojmował-by inaczéj, i starałby się chęć swą zwyciężyć. Dla czegoż tak nie czyni? Dla braku światła, dla niedostatku potrzebnych, istotnie potrzebnych wiadomości i nauk! „Panie odpuść im, abowiem nie wiedzą co czynią!" Nie tak-że to jest? Niech-no mi odpowiedzą, którzy o tém pomyśleli kiedyżkolwiek, lub odtąd byliby radzi w tém przedmiocie oddać się myśleniu, zbieraniu dzieł do tego służących, doświadczaniu. Tak! jestto rzecz wielkiéj wagi, wielkiéj ceny, wielkiego interesu! Dniem i nocą rozmyślajcie w ciągu nabywania nauk, ich udzielania, wyciągania z nich użytków i w ich użytkowaniu. —

Większa rozmaitość w społeczności ludzi, niż w całym świecie innych utworów, nad to wszystko, co jest znaném człowiekowi, prócz samego rodu ludzkiego, okazuje, że dla rodu tegoż, aczkolwiek cały świat nie będący człowiekiem, jest bardzo obszerném i niewyczerpaném zródłem dążenia do doskonałości, aczkolwiek więc rzeczy, zewnątrz człeka będące, koniecznémi są do poznawania przez związek jego bytu i życia, wśród utworów tego świata; przecież najobfitszém i najdoskonalszém środkiem, porywającém jego własne przeznaczenie, są w nim samym, wewnątrz własnéj jego osoby, środki rozpoznawania się, dostarczające dzielności do doskonalenia się w sobie i dla innych, podobnych, do doskonalenia sposobności podające, byle ich nie zaniedbywał w całém życiu, owszem, czuwając nad niemi, stawiał przed się zwierciadło; a do tego jest jeszcze ono i w naukach, bezpośrednio z człowieka płynących, i z tegoż człowieka wątku na osnowę my-

ślenia i czucia, i rozumienia się dostarczających. O zaiste rozumienie się w sobie ma swe szczeble, stopnie idą po skrytych wewnętrznych tonach, akordach, po wewnętrzném życiu strun dzwięk dających — gdzie sam sobie człowiek instrumentem i sam muzykiem, sam je stroi i wygrywa, a nikt nastroić ani wygrać na nim wewnątrz nie może, nikt nie zdoła wpuścić światła do oczu, gdy kto wciąż je zamknięte trzyma, ani brzmienie dojdzie do grubo zatkniętych uszu. — Cały człowiek jest otworem i zewnątrz i wewnątrz, z różnicą, iż lżéj jest z podworza niż wewnątrz gmach swój obejrzéć — ale czémże jest ten gmach, co do powierzchowności, w porównaniu do wartości myśli, uczuć, wysnutych dla siebie z głębi swych skłonności, żądz, cierpień, woli, przyjemności! A kiedy tak jest, czyż nie warto temu celowi więcéj z siebie poświęcić? Prawdo najczystsza i najuroczystszéj dla człeka ważności, przejmiéj go! — przenikniéj społeczność ludzką, przejdź przez wszystkie nauki ludziom znane, i do innych celów ludzkości dodawaj blasku, jak świecznik najwyższego światła, powinowacącego ludzi z duchem, i do niego ich wiodącym tą najpiękniejszą i najpewniejszą drogą. Bodajby ludzie na tej drodze najczęściéj się spotykali, oby byli dziećmi Ducha.

Tu jest nieskończona przewaga celu tego najgłówniejszego dla ludzi, przewyższająca nieporównanie inne wszystkie cele. — Wszakże to nie powinno, nie tylko mięszać korzyści oczekiwanych stąd, skąd nie sam bezpośrednio człowiek jest jedynym przedmiotem poszukiwania, lecz i inne rzeczy w świecie, pod zmysły, jako pod narzędzia usługujące umysłowi i pod uwagę następnie od nich idącą umysłow podpadające.

A kiedy tak jest potrzeba cenić, obliczać i czcić tę sposobność wyższą człowieka, jemu jedynie nadaną do doskonalenia jéj wciąż całego żywota ludzkiego, pomocami coraz przybywającemi wspieraną, potrzeba więcéj cenić, obliczać i czcić, niż sposobność ziemi urodzajnéj, lub z jałowéj na urodzajną

zamienionéj do wydania płodów z niej wydobywanych, więcéj potrzeba ważyć i nad nią czuwać, niż nad sposobnością zwierząt do usług człowieka użytych. —

Więcéj jest w człowieku siły Ducha, więcéj z niego sprawy do zdawania, liczby do uczynienia wartości, do ocenienia, korzyści do uzbierania. Potrzeba więc dopełniać doskonalenia człowieka w rzeczach stworzonych dla ziemskich celów, miarkując je w granicach ustaw właściwych i ustawami nad nie wyższemi; nie opuszczając ziemskich celów, wciąż siebie wznieść do tego widoku, który światło wyższe nad te cele opromienia —

Jeżeli występki, okolając się obrębami sobie przyswojonemi, zdolne są unieść w krainę przywłaszczoną do wzruszeń, zaslepiających rozum i podniecających wyobraźnię dla okazałości ich zwodniczéj, mamiącéj pozorami tymczasowemi, i jeśli widzimy ludzi lecących, jakoby za rzecz wielką, ważną, jakby niezbędną dla tych występków, i tego nie chcą nazwać urojeniemi, bo czynami sprawdzają ich urzeczywistnienie, czemuż okrąg cnót i ich powołanie, nie mają podsycać i unosić ku wyższym krainom, aby w nich utkwiony umysł i serce, wlały w żywot ogień utworzony promieńmi cnót urzeczywistnionych, aby się ukazały w życiu i we wszystkich pobudkach, służących za sprężyny do działań ludzi, jednych wśród drugich. — Mnogość źródeł i powodów do innych nauk, zamiast ważnéj pomocy do trafienia w naturę ludzi i społeczności, przeszła w stronę zgubnego stosunku ludzi, jednych do drugich. — Dla ochrony od błędów pojmowania zepsutego ludzi, nie wywołano z innych nauk pomocy; lecz zbyteczne przylgnienie do rzeczy uwłacza Duchowi, on jest tego wszystkiego sprawcą, że on stwarza porządek, jest skutkiem przyrodzonym jego utworu. —

Potrzeba więc korzystać z mnogości źródeł i powodów do utworzenia się tych wszystkich, jakie dotąd i na potém znane będą, nauk; oraz potrzeba starać się wyciągnąć użytek nadania kierunków, odpowiednych, pod celem zawsze głównym,

najwyższym naukom, i potrzeba użycia ich rozmaitości odpowiedniemi temu drogami, w stosowaniu ich do społeczności ludzi, dla podnoszenia oświaty takiéj, jaka się należy, i jaka odpowiada nie dla żartu wyrazowi temu, oświata, ale ze znaczeniem tego słowa zupełném, przenikając całą istotę człowieka celami wyższemi; biorącego w udział do nich cele niższe ziemskie w pomoc do zachowania zycia moralnego, bez przeszkody utrzymania się w życiu fizyczném. To jest perpetuum mobile — to kamień mądrości —

Potrzeba zatém do postępu nauk, miarę rozsądną i posuwającą się coraz ruchem spokojnym, i coraz je objaśniającym w drodze życia ludzkiego, ukazywać, nie szukać popisu własnego chwały swojéj, celu i wyniesienia, rozsądek z cnotą łączyć, popęd ludzi i społeczności kierować mądrze, cnotliwie, ludzko, bogobojnie, społecznie, ze spólną wzajemnością. Dla tego w układach edukacii i instrukcii krok wyznaczyć temu odpowiedni, pójść za tym przykładem, temi powodami, pobudkami, dążeniem i postępem, i tu jest miejsce rozwijania zdolności ludzi, doskonalenia oświaty, tu się zaczerpywa, jak ze źródła, zmierzanie do szczęścia powszechnego celu

Ta tęsknota za czémś lepszém bez przyczyny, jest-to głos potrzeb ducha; ta dążność szybko unosząca serce, zapalająca umysł, napełniająca duchem, nie są to potrzeby ciała, niémasz dla nich pokarmu w rzeczach zewnętrznych: chyba je zagłuszyć, zaślepić, rozrzucić na chwilę krótszą lub dłuższą możemy; chyba nazbyt się oddamy roztargnieniu, chyba zatamujemy oddech życia, zalani powodzią materijalności. Natura człowieka jest dwoista: w ciele jego i w duszy — więc podwójnie wystawiona na świat materijalny i zmysłowy; na świat myśli i uczucia, w duchu wiedzy nieznanych rzeczy, ale w braku ich czuć się dających przez czczość nieposiadania onych; na ten świat w duszy utworzony, który jakby głos, jakby moc wewnętrzna wypychająca się na jaw, objawienie swoje chwilowo zwiastuje i

która w poezii niekoniecznie rymowanéj, wiązanéj lub składanéj w jakie-bądź wyszukane układy w harmonii mowy, ale w czynie od uczucia, od chęci, od żądz, porwanym z saméj, jakby głębi duch a idzie i maluje byt swój i życie temi chętnemi uczuciami, obrazami innemi, od obrazów natury zewnętrznéj odmiennemi, rozpładniając się coraz żyźniej, pomnażając coraz zbiór swój przez starowną uprawę wedle ich własności, tak jak się rozpładnia ziarno w uprawnéj ziemi; a chociaż człowiek ma w zmysłowym i duchowym świecie, jakieś obrazów z sobą podobieństwo, wzajemne w pojęciach; ale niémasz zgoła podobności takiéj w pojęciach uniesień i chęci, bo jest czem innem od reszty istot ziemskich. Tak się odróżnia od innych utworów swemi wewnętrznemi przypadłościami, znamionami, pobudkami, i z resztą niczego niemal nie zna wewnętrznie, tylko siebie samego, do istoty bowiem żadnéj rzeczy dociec, dojść nie zdoła, a tylko poznaje one z samych przymiotów, których tém większą ilość odkrywa, jakby do nieskończoności, bo nigdy dostatecznie aż do odkrycia istoty saméj, jakiéjkolwiek-bądź rzeczy, nie dochodzi; dla siebie zaś człowiek zwierciadło ze swych myśli i uczuć tworzy i coraz je doskonali, im więcéj nad jego utworem pracuje ze swych myśli i uczuć, w niém widzi rzeczy własne, od pojęcia rzeczy materijalnych różne. Takim sposobem tylko do tych ostatnich się przywiązuje, względnie, stosunkowo, ceniąc się wewnątrz, i życie swe w uczuciu swém i rozwadze nad sobą znajduje. To go unosi w roskosz wyższą nad zmysłowość i zwierzęcość, natenczas czuje się istotą ognistą, wśród świata stworzeń niezdolnych przyjąć tego ognia, wśród owadów, drzew i kamieni, wśród zwierząt wszelkich, istot wszelkich, staje z sobą samym wewnątrz inny, jakby ogołocony z podobieństwa do reszty istot. — Od tego stanowiska idzie wesołość pogody spodziewanéj, różnéj od pogody słońca ziemi, a które obrazy i uczucia dotąd tylko złudzeniom uległe, coraz jednak bardziéj się zmieniają w postać pewniejszą, w uczucie uroczystsze, zamie-

niają siłą ducha i twórczości. Takim sposobem, takim będąc człowiek, inaczéj patrzy na świat materijalny, zmysłowy, inaczej go, bo umiarkowaniéj używa, bo też inaczéj, unikając nadużycia z niego, dla siebie udziału żąda, nie wyczerpywa się sam z siebie, nie wyzuwa się ze swéj godności dla posiadania materii, inaczéj się bawi, mówi, stosuje wszystko inaczéj i do siebie i do drugich: owo zgoła, człowiek jeden w porównaniu do drugiego człowiekabyć może parodiją wzajemną, gdy się wezmie pod uwagę jednego z najgorszych i jednego z najlepszzch ludzi — a rzeczywiście, człowiek niepomny na dwoistość swojéj natury, takim się zdaje — i gorszą jeszcze parodiją jest ten człowiek, który sobie lub drugim kłamie, który udaje: nadewszystko staje się tém podlejszym, im rzeczy, które parodiuje, udaje za prawdziwe, istotne, są ważniéjszego zajęcia, obszerniejszego zakresu. Niepomni na to ludzie, stali się sprawcami tém większego złego, im jakąkolwiek stroną, względem, położeniem, stosunkiem, więcéj mieli wagi, wpływu, czynności, prawdy się wyrzekając i kłamiąc jakiéjkolwiek-bądź cnocie występkiem jéj przeciwnym, a jeszcze bardziej maskując istotę czynu, pozorem odwrotnego działania, i dążenia —

Człowiek rzeczywisty sam w sobie, a nieparodiujący się, nie trawestujący siebie, widzi się od materii wewnątrz siebie odmiennym, doskonalszym, rozmaitszym, i na tęż materiją o tyle doskonaléj poglądającym, o ile się uznaje więcéj w sobie i życie swe rozpościera we własnéj bezpośredniéj, nietykalnie z zewnętrznemi przedmiotami istocie; bo wtenczas nie przywiązuje wartości, na ślepo bezwzględnéj, do materii, która z siebie żadnéj rzeczywistéj nie posiada, a która tylko w sądzie człowieka odbiera względność do tegoż człowieka, i tyle tylko jest słuszną, dobrą, przyzwoitą, ile tegoż człowieka od słuszności, dobroci i przyzwoitości nie oddala, i nie działa inaczéj, tylko tak, że człek nie topi się w jéj powabach aż do zapomnienia o swem doskonaleniu się, o życiu własném

w sobie. Materije do rozwijania zdolności ludzkich, pomagające przez nauki dla nich poświęcone, taki kierunek nadany miéć powinny od tegoż człowieka, aby ród ludzki zawsze się zwracał ku sobie samemu, biorąc siebie za cel a rzeczy dla ich nauki za narzędzie, a zatém nie przestając mieć oka na siebie, doskonalić siebie wciąż nieprzerwanie, bez wyrzeczenia się siebie dla rzeczy, a natomiast z utonieniem w duchu.

Do czegoż to zwracam, mając mówić o naukach, że tak daleko na pozór odstąpiłem od celu? Oto do tego pragnę doprowadzić przekonania, że nie tylko na rzeczy mieć wzgląd potrzeba do ukończenia nauk służące!, ale i na ludzi, nasze położenia, na całą społeczność. Nie dosyć, że widzimy nauki fizyczne, chemiczne, matematyczne, medyczne i tam daléj, ale czy widzimy w nich człowieka, i to, jako przez jego udział one się skojarzyły? Tę rozmaitość ludzi w naturze i społeczności, i w drodze posuwania się nauk, upatrywać należy bez przerwy, aby z dobrem od nauk dla człowieka nie wkradała się strona jemu szkodliwa, aby tém łatwiéj, tém pewniéj, tém częściéj i doskonaléj, ród ludzki dążył do kresu wytkniętego tam, kędy jest doskonałość, spojona z nieskończonością czasu i miejsca. Tam sięgać w widnokrąg światła czystego, postępując, na téj nizinie materijalnéj po wzgórzach naukowych, nie tylko tę nizinę objaśniających, ale i nad nię wznioślejszych przedmiotów koniecznych w całości oświaty. złożonéj z jedności i rozmaitości tak, iżby w jedności szukanie mocy i związku, a w rozmaitości pięknoty i światła, oraz z doskonalenia części i wzajemnych do nich względów całości, zapewnić się dała wspólnie ich godność i rzetelny użytek, w stosowaniu do natury ludzkiéj i jéj potrzeb. Tą drogą doskonalenia ludzi i społeczności ich w naukach się dąży i tą naukom układ dla ludzi nadać należy, który się ukaże niedługo, najprzód ogólnie, potém szczególnie.

Im bardziéj ludzie się gromadzą w społeczność, im dawniejszą się ta społeczność staje, tém bardziéj z natury rzeczy i ludzi urozmaica się. i to jest skutek jéj doskonalenia się:

ale przez to samo, ludzie tém bardziéj za dogodności od natury społecznéj, czują potrzebę ustępowania służbie tejże społeczności i ściślejszego spajania się mocniéjszym węzłem stosunków, a zatém, tém pilniejszego wyrozumiewania samych siebie i drugich, i wyrozumowywania porządku, do którego, aby się obowiązywali, nie samym jedynie nakazem polecającym miłość bliźniego, ale też wywołaniem do swego życia tegoż nakazu jedności i związku, równie też w wiedzy naukowéj i przychylności społecznéj. Na tém zależy dobro i moralność ludzi, doskonalenie się naukowe, umiejętne cele, skuteczne środki: na takim porządku opiera się postęp i czysty widok rzeczy. — Z takiego niepoznania się, na czém istotne szczęście zawisło, i z takiego nieuznania się w sobie samych, wypływa szacunek nadmierny, materijalny, przewaga jego nad moralnością, odtąd czczém słowem mianowaną; z takiego, między złotem a sumieniem nie ma walki, bo piérwszego zwycięztwo bez oporu od drugiego łatwém się staje: stąd chciwość do pomnażania majątków w jednym tylko względzie, zupełnie bez usilności zbiorów, dostatków i bogactw w drugim. Zbyt otwarte oczy na jedną, zaślepione są na drugą stronę, tamtéj odwrotną. — A czy zaś można pogodzić człowieka z sobą samym i ze społecznością, położeniem w jakiem zostaje, jeśli obu względów i widoków nie łączy on w swych wyobrażeniach, pojęciach, chęciach i wciąż w nich dążenia swego, sił, i jednych i drugich nie pielęgnuje w sobie, jeżli nie kocha się w tém spólnictwie, tego porządku dwoistego siebie i całego rodu ludzkiego? Bez tego pogodzenia względów w naturze człeka nierozdzielnych, konieczny jest rozsterk w samymże człowieku, jest rozbrat umysłowości i uczuciowości, jest odległość między wiadomościami a ich użyciem: — skądże więc cnota zdoła być poznaną? a tak nabyte powinności z wiedzy powierzchownéj, ale nie prawdziwéj, nie w przekonanie weszłéj wiadomości, nie czynią cnoty, gdy nie działają na wewnątrz człowieka, i gdy życie nie wedle

nich jest pokierowane. — Takie wiadomości nie są naukami — ale obłędem — zawadzającym dobremu tém bardziéj, im więcéj żądzy przybywa, a możności i środków nie zwiększa; albo, gdy są środki i możność, a na chęciach i świątle zbywa. — Równowaga jest potrzebna, i na tém rzecz główna. — Są ludzie wiedzący o wiadomościach, wiedzący, że wiedzą, naczerpali, napożyczali do tego stąd i z owąd: ale nic prócz wiedzy powierzchownéj — i z nią występowanie dla obłudy — dla czczości słów — dla braku chęci dobrego; — lepiéjby było, gdyby nie mieli tych wiadomości; — są z nich nie jedni na to, aby z napożyczanych i naczerpanych dla siebie środków, użyli sideł przeciwko drugim wiedzącym, ale razem do wiedzy swéj przekonanie i cele życia mającym. — Cnota przez to tylko jest czystą i nieskażoną, że nie w słowo się ubogaca, ale i w czyn, a wierzy nie tylko w wiedzę, ale i w życie, w prawdę, w istotę i w nieśmiertelność wiedzy. Wiedza czysta w człowieku cnotliwym żyje życiem prawdy, jest bez obłudy, nie udaje, nie kłamie zatém sobie saméj: inaczéj ucząc, i mówiąc, i pisząc dla drugich, a inaczéj dla swego interesu, dla siebie ją stosując, bez względu na innych i na dobro, które nam — rozkazem. Cnotliwy bierze mądrość na pozór dla siebie, aby nią siebie nakarmił i ożywił, rozwinął w swoich władzach umysłowych, rozlał po nerwach życia moralnego, po obyczajach swoich; nie chcąc stąpać krokiem żadnym bez jéj pochodni, nie chcąc się jéj sprzeciwić, jéj oddycha celem, i pielęgnując ją na łonie własném, piastuje dla społeczności. I dla téj przyczyny społeczność z niego ma swe dobro — nie jest on zimny jéj członek — nie jest jak pasożyta tam jakiś, który nic sobie, wszystko winien społeczności — ale dla niéj nic, tylko wszystko dla siebie poświęca. — Gdzie jest nauka z cnotą, tam jest mądrość, tam piękność, tam dobroć, tam prawda. Forma słów nie jest duchem — litera nie jest głosem, ani głos życiem, ani pismo dowodem. — Myśl z chęcią do celów cnoty, oświetlonéj wiedzą, zdążająca po czynach ży-

wotnych, jest dobrem prawdziwém — to jest życiem — i jego dowodem. — Człowiek z takiem usposobieniem jest skarbem na ziemi, boskość ducha w sobie mającym — jestto prawdziwy pielgrzym na niéj, żebrzący głosem, pociechy dla nieszczęsnego bez własnéj winy, może dla niewiadomości, któréj pokonać nie mógł, jest-to wołający głosem politowania za wykraczającym, aby się obejrzał w około siebie na swéj drodze, pomyślał o następstwie wypadków za wykroczeniami idących. — Przykry jest mozół takiego człowieka, życiem własném być wystawionym na wpływ od życia drugich chybiających, nié mających akordu do cnoty, jednodzwięczności z zacnością.

(d. c. n.)

Kronika Piśmiennicza
POLSKA.

321. Bigos hultajski, bzdurstwa obyczajowe.

Z godłem:

Nugisque loquacibus omnia miscent.

Horatius.

Wilno. Nakład i druk Teof. Glücksberga. r. 1844. — W ósemce większéj. Str. 181 — Przedmowy XIX — Pomowy 4. —

Julija, wychowanica pułkownikowéj Darzyckiéj, osoba ładna i bardzo ukształcona — salonowa — zamyśla oddać swą rękę przybyłemu z Ukrainy do Warszawy Józefatowi Jarzyńskiemu, ogłaszającemu się bardzo majętnym. — Pułkownikowa odwodzi ją od tego, nadmieniając że młody Rajnicki, zamożny obywatel z Kaliskiego kocha się w niéj. Za Rajnickim mówi serce Julii, ale gdy przypadkowo podsłyszała rozmowę jego z przyjaciołmi: że, pomimo iż ją uwielbia, to wszelako nigdy z Juliją się nie ożeni, dla tego, iż ona majątku nié ma — zbolała, z zakrwawioném sercem, że pieniądze i tylko pieniądze

szczęście i wartość ludzi stanowić mają, zaślubia w rozżaleniu Jarzyńskiego, któremu znowu życzliwa młodzież Julii wystawiła: że panna Julija znaczny ma posag, i że jéj pułkownikowa swój znakomity majątek zapisze, byle tylko nie dostrzegła, że on (Jarzyński) na to liczy. — Julija oburzona na Rajnickiego, usiłuje upatrywać wszelkie cnoty w Józefacie, i mniema, że go szczerze pokochała — nadto i liczne włości, pałace i ogrody ukraińskie zbyt uludne sprowawadzają marzenia. Młoda para po ślubie, wyjeżdża powozem od Liera na Ukrainę. — Ale niestety! w miejscu tych wyrojonych obrazów, znajduje Julija nie mniemane rozległe dziedzictwo, lecz nie wielką dzierżawę, gdzie z rodzicami męża zamieszkać musi! — a są to ludzie bez najmniejszego ukształcenia, uczuć więcéj aniżeli poziomych, chciwi i skąpi: ojciec bijący od rana do wieczora oddanych sobie chłopków, a matka, brudna i nieporządna kobiéta, wymierzająca także z swéj strony liczne razy biednym sługom i t. p. — Rozczarowanie Julii było okropném — miłość jéj dla męża, która nigdy w rzeczywistości nie istniała, i tylko marzoną była, dopóki go otaczał urok mniemanych zalet i dostatków, uleciała niepowrotnie! — Gdyby go istotnie była kochała, znośném-by było podobne życie, bo uczucia serca byłyby jéj wynagrodziły stratę salonów warszawskich i towarzystw dobranych — (wszakżeż już nieraz kochająca kobiéta porzuciła kryt miedziany i marmurowe posadzki, by z ulubionym słomianą podzielić strzechę) — ależ z Juliją nie tak było, a nadto i Józefat tak podstępnie działał, sam licząc na mniemany jéj posag i puściznę po pułkownikowéj! — Lubo Jarzyńskich stanowisko w obec sąsiednéj szlachty bardzo było podrzędném, — wszelako zaproszono ich na pogrzeb znakomitego obywatela, Lelowicza — i Julija po raz piérwszy, ciekawemu widzieć ją, ukazała się sąsiedztwu. Panie i panny tylko z boku na synowę posessora Jarzyńskiego spoglądały — i biedaczka boleśnie uczuła to swoje upokorzenie. Aliści hr. Artur Pięknogórski — człowiek wielce ele-

gancki, *lion* — poznaje Juliję salonów warszawskich i składa jéj holdy swoje, przez co ogólną zazdrość obudza. Nadto jeszcze i poeta Bardon — także Warszawianin — znający Juliję młodziuchną jeszcze panienką, z wielkiem dla niéj jest uszanowaniem, a nawet rymy dla pięknéj znajoméj z młodych lat układa. Na tém się kończy tom 1. —

Mowa X. Chryzostoma na pogrzebie Lelowicza jest wyborną, tchnącą miłością ludu. — Obrazowanie dosyć trafne i zajmujące — znajomość i przenikliwość serca ludzkiego wszędzie widoczna. — Charaktery dobrze skreślone — tylko pani Ożyckiéj zła francuzczyzna nie jest naturalną, ale raczéj odgrzewanemi, dawnemi, nieprzyzwoitemi konceptami upstrzoną. Całość, zlekka wprawdzie, ale wszelako zawsze pewném arystokratyczném wionie tchnieniem. Bo czemuż autor, który w usta X. Chryzostoma tak piękne włożył zdania, nikogo z tak zwanych *podrzędnie urodzonych* ludzi, nie pokazał w świetle cnót domowych i rodowych ludu? — Jest tam i z śmiesznością wytknięta arystokratyczna próżność Stolkowskiego, skupującego stare portrety, z których sobie galeriją obrazów, niby-to, przodków swoich utworzył i w t. p. — jako téż i hrabstwo Pięknogórskich, gdzie Teodor Neuhoff, nieszczęsny król Korsyki, więziony za długi w Amsterdamie, pisząc do obecnego tamże dziadka Artura o pożyczkę, położył na liście napis *à Mr le comte* — co następnie posłużyło do legitymacyi hrabiów Pięknogórskich — jednakże to wszystko nie stanowi tego, co-byśmy znaleść pragnęli — lecz czekajmy końca! —

W *Pomowie* oświadcza autor: że wyda 2, 3 i 4 tom, jeżli się piérwszy spodoba czytelnikom, a w skutek tego księgarz następne lepiéj od piérwszego zapłaci. Przyjemno nam będzie odczytać dalszy ciąg tego zajmującego opowiadania, ale wtrącenie księgarza i t. p. — jakkolwiek humorystyczne — przecież bynajmniéj niepotrzebne i niewłaściwe. — Dziwi nas także tytuł *Bigos hultajski, bzdurstwa obyczajowe* — pod tą nazwą szukaliśmy raczéj tylko *bigosu*, to jest rozmaitych ury-

wków, humorystycznych spostrzeżeń i t. p. — Szkoda że autor powieści swojéj inaczéj nie ochrzcił. — (Jest to T. S.)

322. Biała Kniehini.

Powieść historyczna z czasów Bolesława Chrobrego, przez W. Budzyńskiego. Wydanie J. N. Bobrowicza, 2 tomy. W ósemce, str. z przypiskami 245 — i 239. — Lipsk. Nakładem księgarni zagranicznéj (*Librairie étrangère*). — r. 1844.

Autor skreślił nam jeden epizod z czasów Bolesława Chrobrego, to jest rok 1005 — wojnę z cesarzem Henrykiem IIgim i walkę chrześcijanizmu z pogaństwem, — Sam król występuje na widownię — postać, zamglonéj powodzią czasu przeszłości, w wydatnych wystawiona rysach. — Bohatérka, księżna Biała, jest siostrą Stefana króla węgierskiego a żoną Dejuksa—niewiasta nie mająca żadnego czucia kobiecego, zamiłowana w czynach wojennych (*bojowna*) — okrutna niekiedy — jawna i sroga nieprzyjaciołka chrześcijanizmu. — Bohatérem jest Stoigniew — syn jednego z 300 kiryśników, których Bolesław był Ottonowi II darował — wychowany w Niemczech, skrycie sprzyjał wierze chrześcijańskiéj — miłujący kraj swój, sławę jego i sławę króla — wyniesiony w końcu na dostojeństwa, zaślubia Dobromirę, córkę Białéj kniehini i Mszczudruga, stryja Mistywoja, księcia Obotrytów (*). Obraz Dobromiry, dzieweczki osieroconéj, odepchniętéj przez matkę, przechodzącéj rozliczne smutne koleje, lubéj i łagodnéj, nader jest zajmującym. Charakter Stoigniewa bardzo dobrze przeprowadzony i utrzymywany takim aż do końca, Szczególnie nas pod tym względem zajął rozdział IV i V tomu piérwszego. Rozdział I, jako wstępny, wraz z śpiéwem straży rozstawionéj po wałach:

Słońce zapada, strażo bądź że czujna!
Od strony pola daj oko ciekawe,
Ze świstem lasu chwytaj tchnienie wroga,
Ucha przykładaj do tych gór wysokich,

(*) Dzisiejszy Meklemburg. (*przyp. Recen:*)

Czy nie powiedzą ci o wrogu słowa —
A miéj baczenie od zachodniéj strony,
Bo się na Lechią wali . . . . . i t. d.

jest wzorowym. — bo nam w żywéj barwności przedstawia obraz owczesnego położenia kraju. — Monolog Syderyka na str. 57 i Stoigniewa na str. 100 nie są właściwe, bo któż w tym sposobie, choćby półgłosem i przed sobą samym, swoje wyjawia tajemnice!! — Autor podobno obrał sobie za wzór powieściarza historycznego Albiońskiego półwyspu — Walter-Skotta, niechajże jednak bezwzględnemu nie podda się naśladowaniu, jak tego już nieraz ckliwe mieliśmy przykłady. Talent i łatwość obrazowania, przeniesienia się w wieki oddawna ubiegłe, każą nam wróżyć, że pana W. B. do rzędu lepszych naszych powieścio-pisarzy zaliczymy. — Dalszych prac jego oczekujemy z upragnieniem. — Opowiadanie płynne i nieprzewlekłe, rażą nas tylko wyrazy: po prost, po przed, po przez, po przéd i. t. p. —

NOWOŚCI.

Józef Ignacy Kraszewski, ma przysłać do pisma naszego notatki swoje z podróży do Bessarabii i Odessy, — (według listu, tylko co przez nas odebranego z Gródka.)

Ks, Hołowiński pisze poemat: *Dzieciątko Jezus.* Jego IV i V. tom *Pielgrzymki*, oraz *Teka Rozmaitości* (z rycinami) wyszły już z druku u Teofila Glücksberga w Wilnie.

Tamże ks. Chołoniewski wydał: *Słowa nieprzyjaciół Chrystusa*, z ryciną.